MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 31 WARSZAWA, 26 LIPCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

GDAŃSK

GDAŃSK—stare zagadnienie polityczne Polski. Istnieje od zarania jej dziejów. Bo sprawa Gdańska—to sprawa dostępu Polski do morza, jako że stary ten gród leży u ujścia rzeki, w której dorzeczu rozsiadł się naród polski.

Dlatego to losy Gdańska musiały zawsze żywo interesować kierowników polityki Rzeczypospolitej, zajmowano się niemi w czasie niewoli, stały się one dominującem zagadnieniem w czasie wielkiej wojny i w czasie zawierania pokoju — wszak pogląd na znaczenie Gdańska i morza dla Polski podzielił naród nasz na dwa odłamy, wyznające różne „orjentacje" w pierwszym dziesiątku lat wieku XX i w r. 1914.

Z powyższego wynika, że sprawa Gdańska to nie jest taka sobie sprawa, jedna z wielu. To jest sprawa polska istotna, zasadnicza, należąca do kategorji tych, co do których nie może być żadnego kompromisu.

Takie sprawy posiada każde państwo. Może najlepiej to wyjaśnić na przykładzie. Dla Francji osią całej jej polityki w ciągu stuleci jest zabezpieczenie granicy zachodniej, granicy na Renie. Dla Anglji w Europie zagadnieniem takiem jest niedopuszczenie, by na brzegu morskim Belgji usadowiło się jakieś wielkie mocarstwo europejskie. Dla Włoch taką sprawą jest dziś wszystko to, co się wiąże z morzem Śródziemnem... Czem dla Francji Ren, dla Anglji Belgja, dla Włoch morze Śródziemne, tem dla Polski jest Gdańsk.

*

Tak rozumieli przed wojną i w czasie wojny znaczenie Gdańska ci, co stanęli w obozie koalicji przeciw Niemcom. Dzięki temu ich stanowisku i zawdzięczając akcji politycznej Romana Dmowskiego Pomorze należy do Polski, a w Gdańsku Polska posiada duże uprawnienia i korzysta z portu.

Żądania Dmowskiego szły, jak wiadomo, dalej, niż to się dało osiągnąć. Bo wskazywał on na konieczność posunięcia granicy Polski nad morzem dalej ku Zachodowi, przyłączenia Gdańska do państwa Polskiego, oddania Polsce Warmji i południowej części Prus Wschodnich, wreszcie oddzielenia Prus Wschodnich od Niemiec. Stanowisko Anglji, interwencja wolnomularstwa i żydów amerykańskich (Jakób Schieff) uniemożliwiły przeprowadzenie tego planu, zgodnego z geografją, historją i potrzebami Polski.

Nic się w tym zakresie nie zmieniło. I jeśli Niemcy mówią o tem, że Gdańsk, jako miasto zaludnione w większości przez Niemców, powinien należeć do Rzeszy, to Polacy muszą pamiętać, że nie zmieniły się warunki geograficzne nad Bałtykiem, że istnieje tradycja polska i że interesy polskie nad morzem Bałtyckiem są niezmienne. Możemy o tem wszystkiem nie mówić, dopóki Niemcy nie mówią o „sprawie" gdańskiej, musielibyśmy zacząć o tem wszystkiem mówić, gdyby ze strony niemieckiej wprowadzono na porządek dzienny jakieś postulaty zmian nad Bałtykiem.

Bo nietylko Niemcy mają tam coś do żądania, lecz i Polska także...

*

Załatwienie sprawy Gdańska na konferencji paryskiej i w traktacie Wersalskim jest jednym z licznych przykładów zwycięstwa naiwnej doktryny, związanej z nazwiskiem prez. Wilsona, nad in-

teresami realnemi i wskazaniami zdrowego rozumu. Pamiętam jak ważyła się przyszłość Gdańska w Paryżu. Zaprosił mnie do siebie ekspert amerykański od spraw zagranicznych, p. Bowman. Cały wieczór spędziliśmy w hotelu Crillon, gdzie mieściła się delegacja Stanów Zjednoczonych na rozmowie o ustroju Wolnego Miasta Gdańska. Starałem się dowieść p. Bowmanowi, że jedynem sensownem załatwieniem jest przyłączenie Gdańska do Polski. Nie dał się przekonać, bronił do końca tezy, że trzeba pogodzić interesy ludności niemieckiej Gdańska — z interesami gospodarczemi Polski i koniecznością dania jej portu nad Bałtykiem... Tak powstał dziwotwór w postaci Wolnego miasta Gdańska. Już w traktacie Wersalskim — na skutek znanych przyczyn—pogorszono sytuację jeszcze bardziej. W ciągu zaś lat ostatnich Niemcy *de facto* ograniczali prawa Polski w dalszym ciągu. Przywrócenie stanu wskazanego w traktacie Wersalskim wymagałoby już dużych zmian i wysiłków, a cóż dopiero uporządkowanie ponowne stanu rzeczy u ujścia Wisły. A jednak będzie musiała polityka polska zająć się kiedyś i tą sprawą!

*

W chwili obecnej chodzi o to, by nie pozwolić na dalsze pomnażanie wpływów i pozycji niemieckiej w Gdańsku.

Niemcy chcą skorzystać z tego, że zbankrutowana Liga genewska rozsypuje się pod naporem sił dziejowych i rzeczywistości politycznej w Europie. Chcieliby oni przyśpieszyć likwidację Ligi w jej wilsonowskiej postaci i równocześnie wyzwolić Gdańsk spod jej opieki. Warunki porozumienia z Polską mają gotowe — politycznie połączyć Gdańsk z Rzeszą, a Polsce zapewnić dotychczasową, a może nawet rozszerzoną pozycję gospodarczą u ujścia Wisły.

Otóż—trzeba to powiedzieć z naciskiem—ta właśnie teza jak dla Polski nie do przyjęcia.

Kto tak rozumie rolę Gdańska w dziejach Polski, jego znaczenie współczesne i jego wpływ na przyszłość państwa polskiego, jak my to rozumiemy i jak to staraliśmy się powyżej uzasadnić, ten musi twardo, uparcie stać przy zasadzie, że w Gdańsku posiada Polska nietylko interesy gospodarcze, lecz i polityczne. Tak! Polityczne! Kto tego nie rozumie i nie uznaje, ktoby wzamian za zabezpieczenie interesów gospodarczych chciał się wyrzec pozycji politycznej Polski w Gdańsku, ten nie rozumie zgoła nic z zagadnienia gdańskiego. Bo naprzód bez zagwarantowania interesów politycznych Polski w Gdańsku nie można myśleć nietylko o zabezpieczeniu naszych interesów gospodarczych, lecz—co jest jeszcze ważniejsze—o utrzymaniu Pomorza przy Polsce.

Oto dlaczego nie może być żadnych niedomówień, ani żadnych ogólników, gdy chodzi o Gdańsk. Trzeba jasno, wyraźnie i stanowczo mówić i pisać, że chodzi o polityczne prawa Polski do Gdańska i o polityczne prawa Polski w Gdańsku, a nietylko o pewną pozycję w porcie, lub też o ludność polską Gdańsk zamieszkującą.

A te polityczne prawa Polski w Gdańsku muszą być nietylko utrzymane w obecnym stanie, lecz rozszerzone.

*

Tutaj może ktoś powiedzieć: na to nigdy się nie zgodzą Niemcy! My zaś odpowiemy — zgodzą się i zgodzić się muszą, jeśli tylko polityka polska będzie śmiała i stanowcza.

Jesteśmy zwolennikami unormowania stosunków polsko-niemieckich. Sądzę, że nawet różne jeszcze rzeczy można zrobić w tym zakresie. Lecz tylko pod pewnemi warunkami, z których nie można zrobić najmniejszego ustępstwa.

Jeśli Niemcy dali inicjatywę do unormowania stosunków z Polską, to zostali do tego zmuszeni przez konieczność. Powtórzę raz jeszcze, co już tyle razy napisałem, że zarówno położenie wewnętrzne, jak konjunktura europejska zmuszają Niemcy do zachowania dobrych stosunków z Polską. Ich ręki wyciągniętej odtrącać nie należy, lecz—co Niemcy doskonale zrozumieją—mieć swoje jasne i niewzruszone warunki. Wśród nich rzeczą bodaj najważniejszą są prawa polityczne Polski w Gdańsku i w stosunku do Gdańska.

Sytuacja jest taka, że dzisiaj wystarcza stanowczość Polski i jej niewzruszona wola. Jeśli Polska powie—nie, to będą Niemcy musieli pogodzić się z tem stanowiskiem. Wiecznie jednak tak dogodna sytuacja trwać nie będzie i dlatego poza wolą Rzplitej musi stanąć siła, siła zjednoczonej duchowo Polski i siła zbrojna narodu polskiego.

Wypełnienie naszej misji dziejowej nad Bałtykiem (warunkiem tego posiadanie przez Polskę praw politycznych w Gdańsku) wymaga tedy: jasnego rozumienia zagadnienia gdańskiego, stanowczej woli działania w kierunku przez myśl polityczną wskazanym, przebudowy wewnętrznej Polski i posiadania przez nią armji, mogącej się zmierzyć z armją niemiecką.

I jeszcze jedno, na zakończenie: takie zagadnienia zasadnicze jak Gdańsk, nie znoszą i nie dopuszczają kompromisów. Najmniejszy kompromis może zawierać w sobie zarodek przyszłej klęski. Dlatego to należy się trzymać w stosunku do Gdańska zasady—*resistere ab initio.* Tylko posłuszeństwo tej zasadzie może uchronić od popełnienia błędów. A rzeczy tak stoją, że najmniejszy błąd popełniony w zakresie sprawy gdańskiej może się stać niebezpieczny i fatalne dla państwa polskiego sprowadzić następstwa.

STANISŁAW KOZICKI

„FÜHRERPRINZIP"

(PRÓBA UJĘCIA FILOZOFICZNEGO)

Zasada wodza — *„das Führerprinzip"* — jako zagadnienie etyczno-społeczne nie posiada właściwie dotychczas swego filozoficznego opracowania. Zasada wodza nie jest bowiem wytworem spekulacyj umysłowych, jest ona raczej wytworem sił, działających w pewnym układzie warunków życiowych. To też zachodzi tu wypadek dorabiania teoretycznych, filozoficznych uzasadnień do już istniejącego i wcielonego w życie systemu praktycznego. Istnieje wprawdzie olbrzymia literatura, dotycząca tego zagadnienia, ale jest to niemal wyłącznie literatura propagandowa, stawiająca sobie za zadanie uzasadnienie słuszności aktualnych haseł programowych systemu ustrojowego, opartego na zasadzie wodza, bez wnikania w filozoficzne podłoże problematu.

Pewne filozoficzne przesłanki do omawianego zagadnienia odnaleźćby można u Fichtego, a mianowicie w jego filozofji praktycznej, której osią było przekonanie, że wszelki czyn jest dobry, oraz u Nietzsche'go, w jego koncepcji „nadczłowieka" — jednostki dostojnej, mocnej, twardej, i stworzonej do panowania nad tłumem niewolników. U Nietzsche'go jednak jednostka jest pojęta jako mogąca istnieć w oderwaniu od narodu, co w systemie opartym na zasadzie wodza jest niemożliwe. Obcy jest też tej zasadzie nietzscheański dualizm plemienia Panów i plemienia Niewolników. Za prekursora zasady wodza można natomiast uważać Tomasza Carlyle'a.

Brak głębszych, filozoficznych uzasadnień zasady wodza ilustruje m. in. praca oficjalnego komentatora programu hitlerowskiego, Gotfryda Federa. W pracy tej, noszącej tytuł: *„Das Programm der National-sozialistischen Deutschen Arbeitpartei und seine Weltanschaulichen Grundgedanken"*, ogranicza się autor do podania tez programowych hitleryzmu oraz krótkich komentarzy objaśniających na ich marginesie, nie uzasadniając jednak ani słowem ogłaszanych postulatów.

Ta apodyktyczność w podawaniu ogółowi prawd, które ma uznawać za jedyne, jest zresztą charakterystyczna dla systemu opartego na zasadzie wodza.

I. *FÜHRERPRINZIP*

Zasada wodza — *Führerprinzip* — polega na tem, iż najwyższą i najpełniejszą władzę w państwie sprawuje jednostka stojąca na czele, przyczem władzę tę sprawuje w sposób arbitralny i nie podlegający żadnej kontroli. Ogół obywateli jest tej władzy najwyższej podporządkowany bez wyjątków i spełniać musi rozkazy przywódcy w bezwzględnym posłuchu.

Zasada wodza została wcielona w życie przedewszystkiem we Włoszech, najpełniejszy swój wyraz znalazła w organizacji obecnego państwa niemieckiego, w dużym stopniu zaważyła na układzie stosunków wewnętrznych w Turcji oraz w Polsce, a odnaleźć ją można również w zjawiskach występujących w ostatnich czasach w Rosji Sowieckiej.

W Niemczech zasada wodza znalazła ujęcie do pewnego stopnia mistyczne, właściwe rzec można narodowi niemieckiemu.

Wódz w pojęciu niektórych myślicieli niemieckich jest objawieniem najwyższej siły, najwyższego dobra i najwyższej prawdy. Werner Sombart, rozwijając w swem dziele: *„Deutscher Sozialismus"* zasadę przywództwa, pisze: *„Führerprinzip*, który my wyznajemy, dochodzi do zenitu w ujęciu przez nas woli naczelnej wodza, który otrzymuje nakazy wprost od Boga, jako „wodza" świata, a nie od żadnego innego zwierzchnika. Kto rozumie całkowicie i przyjmuje szczerze zasadę przywództwa, ten musi wierzyć w jej Objawienie. Bez tej wiary w objawienie zasada przywództwa wisi niejako w powietrzu. Wódz państwa ma więc swój mandat od Boga".

II. OSOBA WODZA

Najczęściej spotykaną definicją wodza jest taka: Wódz jest to jednostka najlepsza, wybrana i postawiona na czele przez naród, który wierzy, iż ta właśnie jednostka potrafi go poprowadzić właściwą drogą do realizacji jego zadań dziejowych, przez ową jednostkę najwłaściwiej i najpełniej pojmowanych.

W definicji tej tkwi jednak błąd. Bowiem wódz nie bywa nigdy wybierany przez ogół. Przeciwnie, on sam staje na czele, narzuca swą wolę ogółowi, który uznaje jego wyższość i powołanie do kierowania. Definicja wodza powinnaby brzmieć raczej tak: Wódz jest to jednostka świadoma swej mocy i przeznaczenia, która w odpowiednim momencie narzuca swą wolę ogółowi i staje na czele, aby poprowadzić naród właściwemi drogami do realizacji jego zadań dziejowych, najprawdziwiej i najpełniej przez nią samą pojmowanych.

Oczywiście, przy takiem pojęciu wodza, niesposób podać przekonywających, apriorycznych uzasadnień słuszności motywów, kierujących ową jednostką wówczas, gdy postanawia ona stanąć na czele ogółu.

Słuszność tę mogą wykazać dopiero czyny wodza, jeśli okażą się dobremi, to jest prowadzącemi do możliwie pełnej realizacji korzystnych dla narodu zamierzeń.

Wódz ma być niejako wcieleniem instynktu narodowego. On reprezentować ma najczystszą formę idei, którą naród wyznaje, posiadać pełną świadomość pragnień, drzemiących w duszach jednostek, tworzących naród, on zna prawdę i środki służące do jej zdobycia, on wreszcie potrafi działać w taki sposób, że jego czyn jest czynem jedynie słusznym i dobrym.

Wódz jest człowiekiem czynu, człowiekiem, który umie ponadto swym czynem przekonywać innych. To stanowiło jego siłę i to mu daje przewagę nad wolą ogółu.

Italo Balbo, jeden z najwybitniejszych faszystów włoskich, doniedawna najbliższy współpracownik wodza - Mussoliniego, w swej książce p. t.

„Marsz na Rzym“ powiada: „Dokonany czyn jest zawsze najlepszym dowodem. Dlatego jesteśmy najsilniejsi, że jesteśmy najbardziej zdecydowani. A najsilniejsi mają zawsze rację”.

Jest to dość osobliwa etyka, w której normą postępowania jest stopień poczucia siły, a kryterjum słuszności stanowi stopień przewagi nad innymi. „Najsilniejsi zawsze mają rację” — wódz jest najsilniejszy, bo jest uosobieniem siły zbiorowej tych, których prowadzi i posiada możność dokonywania czynów przeważających nad wolą innych—zatem wódz ma rację. Jego czyny są czynami dobremi, chociażby były w skutkach sprzeczne z dobrem jednostek. Wódz jest więc źródłem i kryterjum poznania dobra. To dobro wyższe, objawiające się w czynach wodza, powinno stać się udziałem wszystkich i wszyscy też są obowiązani do chronienia go i powiększania. A w działaniu zmierzającem do tego celu wszyscy powinni kierować się nakazami wodza, gdyż wola jego jest źródłem prawa.

III. ROLA PRZYWÓDCY

Rolą przywódcy jest prowadzić swój naród do zgóry określonych i uznanych przez wszystkich celów. Funkcja przywódcy jest więc funkcją nadrzędną, nie dającą się sprowadzić do żadnej kategorji funkcyj społecznych. Zadaniem wodza jest łączyć i organizować ludzi czynu. Musi on także trzymać psychikę ogółu w ustawicznem napięciu, pobudzać ją i kierować nią w taki sposób, aby zawsze dysponowała ogół do wysiłków, podejmowanych jednak bez przymusu, ale spontanicznie dla realizacji zamierzeń i celów, wyrażonych w hasłach.

Temi hasłami wódz musi posługiwać się umiejętnie, tak aby posiadały one zawsze jednakowo żywą i zrozumiałą dla wszystkich treść, nie schodząc nigdy do roli frazesów.

(Dok. nast.) STANISŁAW GRZELECKI

GEOGRAFJA TALENTÒW I ELITY

(Dokończenie)

KILKA słów poświęcić chcę malarstwu. O ile udało mi się określić pochodzenie geograficzne rodu, to i tu przewagę okazują ziemie polskie, z których wywodzi się ponad 2/3 ogółu, gdy na ziemie ruskie wypada 21% a na litewskie 10%. W prowincjach polskich na czoło wybija się Mazowsze (27%), z kolei następuje Małopolska (25%), ostatnie miejsce zajmuje Wielkopolska (17%), mimo że pierwsi artyści malarze polscy stamtąd pochodzili. Możnaby sądzić, że decydującym czynnikiem będzie fakt istnienia szkół malarskich w Warszawie i Krakowie. Nie będzie to jednak jedyny powód, skoro tak ubogo przedstawia się Litwa, mimo że w uniwersytecie wileńskim istniała katedra malarstwa, a bogatszą jest Ruś Czerwona, choć Lwów nie posiadał podobnej instytucji, zaś prywatne szkoły malarskie są nie tak dawnej daty. Natomiast uderza fakt rozwoju malarstwa właśnie tam, gdzie wśród luda przejawia się wybitne poczucie piękna barw, ujawniające się w kolorowości strojów i zdobnictwie (łowickie, krakowskie, huculszczyzna), rzecz charakterystyczna, że znaczny procent malarzy wielkopolskich wywodzi ród swój z sieradzkiego, które do dziś swą barwność zachowało wśród ludu. Można tedy sądzić, że i ta zdolność jest związana z odpowiedniemi typami antropologicznemi ludności.

*

Rozpatrzmy wreszcie, dziedzinę nauki. Przewaga ziem polskich zaznacza się jeszczę wyraźniej, wynosząc ponad 80%, na Litwę wypada 5%, na Ruś Czerwoną, Wołyń, Podole i Ukrainę niespełna 12%, na obszar białoruski ponad 3%. Wśród dzielnic polskich pierwsze miejsce zajmuje Wielkopolska z Pomorzem i Kujawami (32%), Małopolska dopiero drugie (prawie 27%), mimo że przecie Kraków był pierwszym ośrodkiem akademickim, Mazowsze wreszcie występuje później i zajmuje miejsce trzecie (prawie 22%), od XIX stulecia jednak wybija się na czoło (32%), gdy tamte nieco się cofają. Różnice jednak zaznaczają się nie tylko w kierunku ilościowym, lecz i jakościowym, Wielkopolska wybija się w naukach humanistycznych, wydając najwięcej przedstawicieli nauk filozoficznych, a także matematyki, jakoteż umiejętności prawniczych i politycznych, Mazowsze znów wykazuje najwięcej przyrodników, zwłaszcza chemików i fizyków, Małopolska jest stosunkowo uniwersalną. Na ziemiach ruskich uderza znaczny procent geografów i geologów, może w tem odbija się znaczniejsza obfitość koczowniczych elementów stepowych. Ciekawe też, iż najwięcej historyków wywodzi się z pierwotnych ziem polskich: Wielkopolski i Małopolski, również na Litwie zajmuje historja poważne miejsce.

Z poszczególnych nauk wybijają się nauki przyrodnicze (na uzdolnienia Polaków w tym kierunku zwrócił uwagę jeszcze St. Szczepanowski), wykazując około 30% ogółu wybitnych naszych uczonych, oraz historja, dostarczająca blisko 20%, przeciwnie najsłabiej przedstawia się filozofja.

Zapewne zestawienia nasze, zwłaszcza w tej dziedzinie, są bardzo niepewne: wszak w dziele pod tą samą redakcją (Konecznego, Kultura polska) dzieje poszczególnych dyscyplin opracowane są przez różnych ludzi, a więc dobór i ocena poszczególnych uczonych nie są dokonywane tą samą miarą, a zresztą ścisła ocena i porównanie wogóle nie są możliwe, niemniej jednak i to tak bardzo chwiejne zestawienie jest przecie charakterystyczne. Nie sądzę więc by przedstawione stosunki były dziełem przypadku, raczej należałoby przypuszczać istnienie poważniejszych przyrodzonych związków.

*

Zbierając całość możemy stwierdzić, że we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego przodują ziemie rdzennie polskie i one dały nam najwięcej wybitnych ludzi. Przewaga ta wyraża się cyfrą 70-80% udziału w ogólnym dorobku kultu-

ralnym. W dzielnicach etnograficznie polskich odmienny jest ich udział w różnych dziedzinach. Wśród osobistości, które przeszły do historji politycznej, prym dzierży właściwa Małopolska wraz z przyległemi do niej ziemiami na wschodzie, w pracy naukowej najwydatniej zaznaczają się wielkopolanie, w malarstwie wysuwa się Mazowsze, Wielkopolska natomiast przedstawia się w tej ostatniej dziedzinie słabo, gdy naodwrót wysoko wybijają się ziemie czerwonoruskie z Ukrainą. W literaturze pięknej wreszcie większa równowaga, z niezbyt wielką przewagą Małopolski.

Widzimy tedy, że poszczególne dzielnice ziem polskich grają poważną, jakkolwiek każda swoistą rolę i wzajemnie się uzupełniają. Wiąże się to zapewne z wrodzonemi właściwościami i skłonnościami odmiennych typów rasowych, jakie w poszczególnych dzielnicach przeważają wśród ludności. Typy te, jak widać, wzajemnie się uzupełniają, ekskluzywność więc jakakolwiek nie byłaby pożądana. Natomiast właśnie w tej rozmaitości zaznacza się wyraźnie zwarta całość. Czy to użyjemy rachunku korrelacji, czy metody podobieństwa Czekanowskiego, widzimy ogromną zgodność: ziemie polskie tworzą wyraźną całość *).

*) Współczynniki korrelacji, obliczone dla poszczególnych kategoryj wedle wzoru Spearmana, są wcale znaczne, wynosząc od + 0,829 do + 0,929, gdy zupełną zgodność wyraża + 1,000. Słabszy jedynie jest związek ilości talentów malarskich z liczbą innych przedstawicieli, współczynniki wynoszą od + 0,557 (związek z nauką) do + 0,820 (z literaturą piękną). W każdym razie i tu związek wyraźny, przeciwieństwo zaś wyrażone ujemnemi współczynnikami nigdzie nie występuje.

Niemniej charakterystyczne stosunki widzimy, zestawiając nie położenie geograficzne gniazd rodowych wybitnych osobistości, lecz miejsce ich urodzenia, wychowania i bezpośrednich warunków. Tu przewaga ziem etnograficznych polskich również widoczna, ale w mniejszym stopniu, natomiast wyraźnie zaznacza się współdziałanie innych prowincyj. Zwłaszcza wyraźnie wybija się Ruś Czerwona z Podolem, gdzie nietylko rodzi się cały szereg wodzów, lecz i mistrzów pióra w literaturze. Metoda podobieństwa, tu zastosowana wykazuje silny związek zwłaszcza z właściwą Małopolską, świadcząc o skuteczności i trwałości zdobyczy ducha polskiego na tych obszarach pokojową drogą, zapoczątkowaną przez Kazimierza Wielkiego. Ziemia sanocka, przemyska wcześnie rywalizuje na polu kulturalnem z dawnemi dzielnicami (Grzegorz z Sanoka, Paweł z Krosna, Mikołaj Hussowski, Mikołaj Rej...), później przyłączają się do zbiorowej pracy na tem polu dalsze ziemie wschodnie i północne.

Prymat jednak dzierżą stale ziemie macierzyste i one też nadają piętno całości kulturalnej.

*

Kończąc, jeszcze raz podkreślam prowizoryczność moich uwag, opartych na niezbyt obfitym materjale i branym z drugiej ręki, z podręczników i zestawień. Nieuniknione więc nie tylko luki, lecz i błędy. Niemniej zgodność wyników przy stosowaniu rozmaitych metod pozwala przypuszczać, że jednak istotne i zasadnicze wnioski odpowiadają rzeczywistości.

LUDWIK JAXA-BYKOWSKI

UROSZCZENIA

Po OGŁOSZENIU czwartej z kolei rozprawki w znanej czytelnikom sprawie uchwał Komitetu Ortograficznego (w Nr. 25 „Myśli Narodowej") sądziłem że zamykam nią swój uparty spór o jotowanie. Oczekiwałem wprawdzie odpowiedzi ze strony sfer komitetowych, ale się jej nie spodziewałem. Tymczasem — nadeszła. W dwumiesięczniku „Język Polski" w zeszycie na miesiąc Maj — Czerwiec r. b., w rozprawie p. t. „Walka o ortografję" p. Zenon Klemensiewicz omawia wszystkie głosy, jakie w prasie z powodu uchwał Komitetu się ukazały, a między innemi i moim wystąpieniom około stu wierszy druku poświęca. Ponieważ p. Klemensiewicz należy do Komitetu redakcyjnego czasopisma „Język Polski", a jego redaktorem naczelnym jest p. Kazimierz Nitsch, który jest przewodniczącym Komitetu Ortograficznego, więc rozprawę p. Klemensiewicza mam prawo uważać za pół-urzędową odpowiedź ze strony sfer miarodajnych.

Odpowiedź ta i w całości swojej i w części do mnie skierowanej daje mi wystarczającą ilość materjału do wysnucia najogólniejszego w tej sprawie wniosku o uprawnieniach, jakie komu, w zakresie prawodawstwa językowego, przyznać można, a także o uroszczeniach, jakie i komu wytknąć należy. Uprawnienia — życiem zdobywa się, uroszczenia— życie odtrąca. Ale narazie uroszczenia, jako zorganizowane, mogą być od uprawnień silniejsze, i dlatego ważniejszą mi tu rzeczą zająć się głównie uroszczeniami, a mniej — uprawnieniami. Tak postawione zagadnienie będzie, jak sądzę, bardzo dla całej sprawy pożyteczne.

Naprzód atoli usunąć muszę małe, do formalnej strony sporu należące, nieporzumienie: P. Klemensiewicz wyraża na wstępie nadzieję, że jego odpowiedź

„może uwolni K. O. od srogiego zarzutu, że „pod egidą Polskiej Akademji Umiejętności, w obliczu szkół i całego społeczeństwa" daje „ze siebie tak gorszące widowisko".

Otóż z takiego zastosowania przytoczonych słów moich widzę, że uznano je za strzał przeciwko treści uchwał komitetowych wymierzony, a tymczasem ja wyraźnie słowami temi napiętnowałem tylko publiczne przez Komitet przekreślanie własnych, już ogłoszonych uchwał i uchwalanie nowych błędów, aby następnie w nowej, najnowszej cofnąć je uchwale, co na innem miejscu nazwałem kontredansem Komitetu Ortograficznego. Na dowód, że takie jedynie zastosowanie mogą mieć odnośne słowa moje, przytoczę z zeszytu Nr. 15 „Myśli Narodowej", z rozprawki mojej „Ustalanie pisowni" cały okres, z którego słowa te wyjęto:

„Obecna — marcowa uchwała przywraca powagę tym błędom, które Komitet sam w lutowej uchwale przed mie-

siącem przekreślił. Jakie wiatry miotają barką Komitetu na spokojnem, zresztą, jeziorze ortografji polskiej? A mówiąc bez poetyckiego patosu, czy godzi się, żeby pod egidą Polskiej Akademji Umiejętności, w obliczu szkół i całego społeczeństwa Komitet Ortograficzny dawał ze siebie tak gorszące widowisko?“

Rzecz tedy jasna, że gorszącem widowiskiem nazwałem tu nie treść uchwał, ale ich ogłaszanie bez przemyślenia i następne cofanie i znowu nowych uchwał przekreślanie. W oczach szkół i społeczeństwa ta chwiejność właśnie najbardziej Komitet skompromitowała.

Ale kompromitująca była także treść uchwał w tych mianowice punktach, które ja szczęśliwie aż w czterech rozprawkach omówiłem. Uchwałami temi Komitet udowodnił, że nietylko on sam w konkretnej postaci swojej, ale wogóle ortografowie, gramatycy i językoznawcy nie posiadają dostatecznych uprawnień w zakresie dla żywej mowy polskiej prawodawczym. Są oni historykami języka lub wielu języków, są analitykami mowy ludzkiej i jej filozofami, są jej... dozorcami, ale twórcą jej i źródłem jest kto inny, którego oni słuchać powinni. O ile zaś nie słuchają, ale, owszem, sami wynoszą się na krzesła trybunalskie a życie mowy współczesnej zwysoka traktują, wpadają w uroszczenia.

Na słuszność tego poglądu mimowoli dostarcza dowodu odpowiedź p. Klemensiewicza, a to w oświadczeniu, że Komitetowi Ortograficznemu nie wolno było przesądzać, jak mają być wymawiane słowa, których pisownię zmieniać miał i ustalać. Nietylko laik, ale nawet uczony ortograf po pewnym namyśle przyzna, że taka zasada kierownicza z góry pozbawiła Komitet wszelkiego prawa do stanowienia w pisowni polskiej tych zmian, które z wymową słów są związane. Bo jakże można zmieniać i ustalać litery, gdy niewiadomo, jakie one mają wyobrażać dźwięki?

Nie mogłem dotychczas zrozumieć, z jakich powodów Komitet w sprawie jotowania uchwala prawa fantastyczne, z życiem mowy i z logiką niezgodne, a w ciągu sporu mojego zapytywałem, na jakich zasadach Komitet uchwały swoje opiera. Teraz nareszcie, dzięki odsłonięciu zasady naczelnej, pracami Komitetu kierującej, wszystko w tej sprawie staje się zrozumiałe, jasne, konieczne. Komu nie wolno wiedzieć dokąd ma iść, ten za kierunek kroków swoich nie odpowiada. Z najrozsądniejszych ludzi gra w chowanego czyni pozór zlekka pijanych. Uchwalając pisanie liter o niewiadomej ich wymowie, Komitet musiał się zataczać i żałosne z siebie czynić widowisko. Trzeba mu teraz to wybaczyć, a natomiast podnieść zasługę jego w bohaterskiem trzymaniu się fałszywej, ale raz przyjętej zasady naczelnej.

Napróżno odpowiedź p. Klemensiewicza wskazuje, że wymowa wielu słów omawianych w różnych kątach kraju, w różnych warstwach, a nawet u różnych jednostek jest różna. To przecie powszechnie wiadomo, ale nie o to tu chodzi. Pewne warstwy w Warszawie mówią: *„Jeździliśmy na Saskie Kiempe i widzieliśmy tam szare gieńś i dzikie kaczkie.”* Mimo wielu nietylko tak drastycznych egzotyzmów wymowy, nikt nie ma zamiaru urządzać plebiscytów w sprawie wymawiania słów w rodzaju *dyjecezja, djecezja, dijecezja, diecezja* i t. p. Ale z tego wcale jeszcze nie wynika powinność szczelnego na życie zamknięcia oczu i uchwalania na ślepo prawideł pustych i dowolnych.

Komitet Ortograficzny w ultrademokratycznem zaślepieniu swojem nie chciał żadnej poszczególnej wymowy danych słów przywilejem prawomocnej pisowni obdarzać, więc wymyślił dla nich rodzaj esperanta ortograficznego, gdzie dzieją się takie cudaczne cuda, jak to że w niektórych słowach *(kurier, Maria, mumia* i t. d.) litera samogłoski *i*, oznacza spółgłoskę — jotę! Sądzę, że nawet wśród najuboższych języków uchwała taka zdobyła by rekord oszczędnej gospodarki literowej... Ale, niestety, w języku, jak polski, bogatym, i w pisowni, jak polska pisownia, logicznej, prostej i przedziwnie z wymową zgodnej, sama uchwała Komitetu zawisła w próżni teoretycznej.

Postawa Komitetu Ortograficznego była w tym wypadku tak dalece nieżyciowa, że, mając do wyboru istniejące w żywej mowie dwa, albo trzy sposoby wymawiania słów danego typu, nie umiał oświetlić ich sobie głównemi właściwościami języka polskiego, ani słów tych poddać jego sile chłonnej, a w wyniku nie zdobył się na odwagę uznania którejkolwiek żywej wymowy i zastosowania do niej w tych słowach polskiej a nie cudzoziemskiej pisowni. Komitet, jak balon gazami nadęty, uniósł się wysoko ponad wszelkie wymowy, w stratosferę mowy milczącej, i wymyślił dla danych słów — jako że przeważnie romańskich — pisownię barokowo—rokokową, dla języka polskiego niewymawialną.

Jeżeli niemożliwością jest urządzanie plebiscytu na wymowę danych słów, to jeszcze większą niemożliwością byłoby przyjęcie dla nich pisowni, która żadnej wymowy nie uwzględnia. Ale oprócz dwu tak ostrych krańców tej sprawy istnieje środek w postaci dokonania wyboru wymowy, wyboru opartego o zawodową znajomość języka polskiego. Gdy dwa albo trzy sposoby wymawiania ścierają się z sobą, gdy w żywej mowie — mówionej i pisanej — walczą pomiędzy sobą o wejście do tak zwanej mowy literackiej, nie stanowi wtedy zbyt wielkiej trudności odgadnięcie, który z nich jest najgodniejszy zwycięstwa. Trzeba tylko pilnować, aby to był sposób zgodny z duchem języka, co bezwiednie czyni lud wiejski, a mniej-więcej świadomie — dobrzy, odpowiedzialni wśród pisarzów styliści. Gdyby Komitet do kierowniczych zasad swoich zaliczył te dwa żywe i twórcze dla mowy czynniki, a zastosował do nich jeszcze kontrolę ze strony swojej wiedzy zawodowej, napewno rozstrzygnął by sprawę jotowania w pisowni w sposób doskonały.

Ale Komitet odrzucił tę jedynie trafną metodę rozpoznawczą: badań wymowy u ludu, a wymowy i pisowni omawianych słów w warstwie oświeconej społeczeństwa polskiego nie uwzględnił, z zasadniczemi właściwościami mowy i pisowni polskiej nie liczył się, a swoją wiedzę zawodową tak zastosował, że do owych słów pochodzenia obcego cudzoziemską pisownię przypiął i przylatał, dając tem pozór, że język polski własnej dość giętkiej pisowni jeszcze wypracować sobie nie zdołał. Wszystko to jasno uwidoczniło się i w uchwałach Komitetu i w odpowiedzi, którą p. Klemensiewicz ogółowi krytyków udzielił.

Całemu stanowisku Komitetu w sprawie jotowania należało by osobną rozprawę poświęcić, która by szczegółowo wykazała, w jakim gąszczu

błędów i martwych nastawień poruszało się to zgromadzenie uczonych. Nie będąc do pracy tej powołanym, przypomnę tylko, że Komitet odważył się ustalać pisownię dźwięków sobie nieznanych, oraz że, pomimo obecności w pisowni litery zwanej jotą, a oznaczającej odpowiednią spółgłoskę, uchwalił dla pewnej kategorji słów oznaczanie tej spółgłoski przez samogłoskową literę *i*. Czy można dalej posunąć akademicką wiedzy swojej martwotę? Czy można skuteczniej pozbawić siebie uprawnień do naprawiania pisowni, aby pozostać tylko przy uroszczeniach?

Gwoli różnym naukowym uroszczeniom i zaślepieniom swoim Komitet przeoczył żywy nurt współczesnej mowy polskiej w jej wymowie i pisowni, a tu — wyraźny kierunek w samorzutnem rozstrzyganiu poszczególnej sprawy jotowania słów pochodzenia obcego. Kierunek ten łatwo odkryć u najlepszych pisarzów polskich, a że zgadza się z duchem języka polskiego i z całokształtem pisowni słów rodzimych, żadnej przeto nie miał Komitet przeszkody życiowej ni logicznej, aby go w najprostsze ramy prawa ująć i ku własnej chwale długotrwały w tej sprawie zamęt raz na zawsze usunąć.

Lecz okazuje się, że dla twórczych w języku poczynań nie wystarcza cały zawiły splot nauk filologicznych... Trzeba, nadto, nieprofersorskiej, zaiste, odwagi, by wolnym strzelcem, owszem — włóczęgą nawet i kłusownikiem stać się w tajemniczych puszczach mowy ojczystej.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

WYSPIAŃSKI I WRÓBEL

II

JAKIE były drogi formowania się plastycznego oraz własne formy wypowiedzenia malarskiego tych dwu wielkich nowatorów-indywidualistów?

Zupełnie różne, — bo obaj czerpali je z ducha kultury ludu wśród którego wzrośli.

Siedlecki rodowód Wyspiańskiego wywiódł z XVII wieku. Słuszne to nie tylko dla poezji, ale również i dla plastyki linji jego. Wyspiański wywodzi się z wielkich mistrzów baroku, — jak smuga barwna jego witraży wysnuwa się od Michała-Anioła, Rubensa, Matejki. Żywa linja, nerwowa, niecierpliwa, przeduchowiona aż ponad krańce, jest najbardziej uderzającem znamieniem jego formy. Linja ta ze wszystkiego się wyrywa, wszystko otacza, mieści w sobie i plamy i wstęgi barwne, jest ostateczną konsekwencją baroku, jest dziedzictwem matejkowskiem w nowej, genjalnie indywidualnej interpretacji. I, wbrew twierdzeniu niektórych, a zgodnie z twierdzeniem samego artysty nie ma ona nic wspólnego z japońszczyzną.

Wspólna natomiast jest z duchem sztuki ludu polskiego, ludu krakowskiego. Malowana skrzynia krakowska, ta właśnie, która stoi pod ścianą izby „Weselnej“, a na którą gramoli się Chochoł, ta jest najbliższą krewniaczką plastyki Wyspiańskiego. Tak to pisanka pasła oczy mistrza i ucznia: Matejki i Wyspiańskiego, — sama zresztą będąc dziecięciem baroku.

Wróbel, choć znakomity rysownik, linji nie uznaje, tam gdzie nawet sama się wyrywa, stara się ją przytłumić, poobrywać, na kreski poszarpać, byle nie dozwolić jej płynąć i rozwijać się. Dla niego istnieje tylko plama barwna, możliwie krótka, cięta, jak kamyk mozaiki. Nie on sam jeden zresztą jest wrogiem linji, w Rosji stało się to dość powszechne, wielbiciel Matejki, mistrz Eljasz Repin twierdził: „w przyrodzie niema linji, jest tylko powierzchnia barwna. Linja to abstrakcja, wymysł ludzki”. Sam operował szerokiemi pociągnięciami pendzla, w których linja tonęła. I z punktu widzenia realizmu oraz naturalizmu miał rację.

Linja jednak może być i jest rozgraniczeniem płaszczyzn barwnych, nadaje siłę konstrukcji i koncentracji. Ale tu właśnie, teorja ich i praktyka zbiegają się z właściwościami ducha rosyjskiego, ducha kultury wschodu, nie jest on zdolny do koncentracji i nie jest konstrukcyjny. Wszystko co może osiągnąć, toześrodkowanie czasowe i częściowe—mechaniczne, nie organiczne i rozwojowe.

Mozaika wenecka silniej poruszyła wyobraźnię plastyczną Wróbla, aniżeli potężne, płynne linje i szerokobarwne płaszczyzny Tycjana.

Zresztą nietylko mozaika wenecka, wpływ wschodu jest jeszcze wcześniejszy. Oto technika Wróbla, jego uderzenie pendzla („mazok”), barwny układ kompozycji są zadziwiająco spokrewnione z dywanami wschodniemi, z dywanami perskiemi, a przedewszystkiem ze zdobnictwem turkmeńskiem i tatarskiem; wreszcie sięga ta technika i do ludu rosyjskiego, nic bowiem to nie jest innego jak niezwykle wzbogacone, przepychem twórczego talentu na wyżyny sztuki podniesione chłopskie wyszywanie krzyżykowe, tak ulubione w stepach Małorosji, widniejące obficie na zgrzebnych koszulach wioskowych dziewcząt, a nawet chłopców.

Ta mozaikowo-dywanowa faktura obrazów Wróbla, choć wahająca się pomiędzy wyraźnym dekoracjonizmem a realizmem, jest podstawą jego indywidualności i nowatorskiej oryginalności.

Pierwszym obrazem tego wschodniego typu, i trzeba przyznać, obrazem znakomitym, była powstała przy udziale wpływów Wenecji: „Wschodnia bajka” (r. 1886). Na tle zdobnego przepychu wnętrza kibitki (namiotu) jakiegoś hana Złotej czy Kipczackiej hordy, twarze władcy i hurysy, tajemnicze, fascynujące. Całość mieni się poprostu tłumem plam barwnych, jak stosem drogich kamieni. Nie wielka to rozmiarami ale pod każdym względem pierwszorzędna akwarela.

Tak jak pastel u Wyspiańskiego, tak akwarela u Wróbla stała się najwłaściwszą techniką tworzenia. Wróbel też jest największym rosyjskim i jednym z największych na świecie akwarelistów.

Wyspiański, idąc za wskazaniami mistrza Matejki i za własnym przedewszystkiem popędem, szkicował, studjował, przerabiał i stylizował kwiaty ojczystych pól i lasów. Rozmiłował się w nich bezmiernie. Od nich się uczył łączenia linij płynnych i barwy. Doszedł też do zachwyt budzących wyników. Można powiedzieć, że wyobraźnia jego i dusza była owita tem kwieciem, temi naręczami ziół, ukołysana, ukojona ich wonią. Jedyny schron w bolesnych, choć mocarnych, a tragicznych wstrząsach. Nie! jeszcze jedno zamiłowanie znamienne, ukazujące duszę wrażliwą, subtelną, serce tkliwe, do cichych, rzewnych wzruszeń podatne; to główki, twarzyczki dziecięce. Jest to największy artysta główek dziecięcych w sztuce polskiej i jeden z największych w sztuce wszechświatowej. We wnikliwości różnorakiej w rozwijające się jak kwiaty dusze dziecinne, od niemowlęcia, ssącego pierś matki, aż do podlotka i pacholęcia — nikt mu nie dorówna. I w tem właśnie, czystem, krystalicznem źródle widzimy duszę, tak prawdziwie polską i tak głęboko katolicką.

Kiedy spoglądam na te tak liczne obrazy dziecięce, zdaje mi się, że Mistrz nasz i Pan, Bóg Zbawca, chodzi pomiędzy niemi mówiąc słowa pełne słodyczy: „Dozwólcie dziateczkom przyjść do mnie...”

Najcięższe chwile przełomu i zmagań się, obok tytanicznych wizyj, poświęcał Wyspiański cichej miłości kwiatów i dzieci.

Wróbel nie był pozbawiony głębokiego odczucia przyrody, jej tajemnych tchnień. O tem świadczą jego wspaniałe „Bzy” i niektóre tła krajobrazowe. Jednak najrozkoszniejszym przedmiotem jego studjów nie były kwiaty, lecz drogie kamienie i perłowa macica. Turkusy, rubiny, granaty, a nadewszystko szmaragdy i szafiry, czasem akwamaryna i błysk brylantu, wypełniają jego obrazy. Z nadzwyczajnem mistrzowstwem czy w farbie wodnej, czy w olejnej umie wydobyć to bogactwo barw, wśród których szczególnie umiłowane przez niego jest tęczowe przelewanie się perłowej masy. Srebro i złoto czasem bierze wprost z natury, czerpie i wtapia w obraz *in crudo* („Demon”).

Pociągnięcie pasteli Wyspiańskiego — najlepsze, kiedy jest długie i płynne, Wróbla uderzenie pendzla najwyrazistsze kiedy krótkie i jędrne, aż ostre. Kwiat i barwny kamyk. Żywy, gorącoświetlisty witraż—i zimno-skrząca mozaika.

W soczystej głębi tonów ciemnych Wróbla i w pociągnięciu pendzla jest jednak coś z Rembrandta; nic dziwnego, jeden z największych zbiorów Rembrandta, poza ojczystą Holandją, posiadał przed wojną petersburski Ermitaż. Galerja ta niezawodnie musiała wpłynąć na Wróbla.

Podobnie jak Wyspiański, Wróbel był znakomitym portrecistą, jednak nie pociągała go i nie przemawiała do niego tak jak do Wyspiańskiego dusza dziecięca. Najlepsze portrety jego są to portrety męskie. Kobieca dusza również mniej do niego przemawiała; poza portretem żony, należy zwrócić uwagę na „Łabędzią królewnę”, w której zresztą wspaniałość barw zimnych, miejscami jakby przez złomy lodu przeświecających pochłania subtelny wyraz twarzyczki niewieściej. O ileż wyrazistszy jest „Pan”. Właściwie, mimo koźlich nóg, nie jest to „Pan” klasyczny, ale prawdziwy rosyjski „Dziadek leśny” poczciwy „Dieduszka”, turkusowemi talarkami swoich ócz ciekawie, badawczo i chytrawo spoglądający w wieczorny mrok trzęsawiskowej i brzozowej północy, nad który wychyla się sierp „luny”. Obraz znakomity w technice, ujęciu, nastroju; typ też i wyraz tego leśnego dziadka pierwszorzędny, — jest to twarz hr. Lwa Tołstoja w swoistej interpretacji.

W Moskwie Wróbel tworzył wiele, nazbyt różnostronnie: akwarele, olejne sztalugowe obrazy, prąd też jego twórczości nazbyt często zataczał się w łachy i płycizny. Oddziaływało na to otoczenie i środowisko, twórca „Demona” należał do kółka artystycznego, podtrzymywanego i zasypywanego obstalunkami przez typowego kupca moskiewskiego, mecenasa nie pozbawionego pewnego poczucia sztuki, ale snoba w duchu rosyjskim, a więc „samodura” Mamontowa.

Wyspiański zmagał się z ubóstwem materjalnem środowiska, w pewnym tylko stopniu z „kołtunerją”, Wróbel tonął w powodzi obstalunków rozrzutno-kupieckich, zalewany wybrykami pospolitości, tych co drewnianemi łyżkami, a nawet całemi czerpakami „*kuwszynami*” objadają się kulturalną strawą.

To też jego obrazy dekoracyjne dla Wszechrosyjskiej Wystawy Niżegorodzkiej,—jego rzeźby-majoliki, kompozycje wnętrz, w pewnym stopniu kompozycje dekoracyj teatralnych, mimo przebłysków oryginalnego, nowatorskiego talentu i podźwięku pewnej głębi, spadają coraz niżej.

Jedyne dzieło prawdziwie własne, niezależne, rzucone jak wyzwanie otoczeniu i światu, to ten zawsze opracowywany i nigdy nie kończony „Demon”.

Bagienne trzęsawisko Wosiugonu, wessało go i zdusiło w ostatnich chwilach obłędu.

Wyspiański zwyciężył. Choć padł pod ciosami choroby—zwyciężył.

Rzucił taką żagiew ognia w głąb narodu, tak nim zatargał, że się ten rozpłomienił. Uczynić to jednak mógł w swym potężnym porywie dlatego, że naród i on, nieodrodny syn jego, byli przepojeni duchem kultury Zachodu, duchem kultury rzymsko - katolickiej. Tragedja uczuć i myśli, życia i twórczości Wyspiańskiego była płodną.

Tragedja Wróbla była tem straszniejsza, że była bezpłodna, była tragedją kultury Wschodu, rozlewnej, bezładnej, niezdolnej do koncentracji, spod karbów zewnętrznych tak łatwo wpadającej w nihilizm. Wróbla w Rosji nie zrozumiano, bo Rosja sama siebie nie rozumie. Zostało tylko tchnienie stepu, szerokie, bezkresne i nieokreślone, tęsknica borów północy, przepastnej tajgi, ginące echo „zaunywnej” pieśni.

Jeżeli zestawimy w szybkim rzucie oka Wyspiańskiego z Wróblem, to w samym toku twórczości różnica staje się uderzająca. Wyspiańskiego twórczość ześrodkowana, określenie czynna, w płomiennym porywie swoim, w gorączkowem działaniu wyraźna, do jednego celu zdążająca, ma ideał który wskroś ją przepaja, a tym jest Naród.

Wróbla twórczość przepełniona bólem wszechświatowym, nieokreślonym, rozlewnym, bezcelo-

wym i prawie bezprzyczynowym, a w każdym razie przyczyny swojej nieświadomym, w przepychu barwnych wizyj tłucze się po tym świecie jak widmo wspaniałe. Jedynie chwilami akcentująca się przedziwna wyrazistość oblicza przypomina jego polskie pochodzenie.

Twarze też dwu artystów godne są zestawienia.

Liczne autoportrety Wyspiańskiego dostatecznie pozwalają się wgłębić w tę drogą głowę, w to oblicze takie słowiańskie i tak bardzo polskie, w ten wicher włosów, jak płowy łan zboża dojrzałego i w te chabry ócz, jak kawał nieba polskiego.

Wydłużona twarz Wróbla, nie jest polską, ani tem bardziej rosyjską, raczej nordycką, skandynawską ale w spojrzeniu jest coś pokrewnego z Wyspiańskim, jest jakaś głęboka zaduma, jasność i słodka tęskność.

Wyspiański zmarł w r. 1907, Wróbel w trzy lata później (r. 1910). Wyspiańskiego twórczość była krótsza ale skoncentrowana, o wiele bogatsza, potężniejsza. Wróbla dłuższa, więcej rozproszona, bardziej rozlewna.

Każdy z nich był wyrazicielem środowiska i narodu w którym żył i tworzył.

LUDOMIŁ SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

ŚWIĘTA ANNA

(26 lipca)

Hance Godlewskiej

Święta Anno, czyś się spodziewała,
Gdyś córeczkę swoją kołysała,
Piersią ją karmiła,
Pieściła, tuliła,
Włoski jej czesała,
Kwiatki w nie wplatała,
W czystą sukieneczkę ubierała
I za rączkę wiodła do świątyni—
Że z tej malutkiej Maryni,
Marychny, Marysi, Mani,
Wyrośnie Niebieska Pani,
Bogurodzica-Dziewica!

Nad słońce płoną Jej lica,
A stopy w sierpie księżyca
Opiera na róż kobiercu,
A siedem mieczów w Jej sercu,
Z siedmiu barw tęcza nad głową
Anielską wieńczy Królową!

O, święta Joachimowo!
Twa Córka jest pełna łaski,
A na Cię padają blaski
Radości Męki i Chwały.
Zanim Wnuk, jak kwiat wspaniały,
Zakwitnie na drzewie krzyża,
Dzieckiem ku Tobie się zniża
I zowie Ciebie babunią
Maleńki, słodki Jezunio!

Święta Anno, cnotliwa małżonko,
Naszych ognisk bądź zawsze patronką.
Święta Anno, matko Matki Boskiej,
Wejrzyj na domowe nasze troski,
Święta babko Najświętszej Dzieciny,
Miej w opiece Swej nasze rodziny!

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Wydawnictwo antysemickie w Paryżu. — Francuzi wobec kwestji żydowskiej. — Rząd Bluma i jego możliwe następstwa.

LEŻY PRZEDEMNĄ, nadesłany mi z Paryża, numer nowego czasopisma antysemickiego: *„Le réveil du peuple"*. Redaktorem i założycielem jest p. Jean Boissel, którego przypominam sobie sprzed lat dziesięciu czy dwunastu, gdy jako jednego z przedstawicieli studentów francuskich spotykałem go na międzynarodowych zjazdach młodzieży. Nie zaciekawiła mnie zbytnio treść wydawnictwa o charakterze wyraźnie popularyzacyjno-propagandowym, zainteresował natomiast i dał do myślenia fakt znamienny, że ten typ prasy zaczyna wogóle znajdować wśród społeczeństwa francuskiego możność istnienia. Wszak od tak dawna już, bodaj że od czasów Drumonta i Gohier'a, hasło przeciwżydowskie nie było właściwie przez nikogo we Francji wysuwane!...

Wiele możnaby wskazać przyczyn, dla których sprawa żydowska jest do dziś jeszcze przez przeciętnego Francuza traktowana z zupełną obojętnością i niewiedzą. Ktoś uczynił kiedyś trafną uwagę, że w epokach, w których przeważał duch racjonalizmu, był czynnik krwi, pochodzenia usuwany w organizacji życia zbiorowego na plan dalszy, wszystkiego zaś oczekiwano od wychowania, wykształcenia i t. d. Charakterystyczna pod tym względem jest np. postawa epoki Renesansu, w przeciwstawieniu do odmiennych zgoła poglądow i urządzeń Średniowiecza. Ten racjonalizm (tak bardzo różny od swoistego mistycyzmu nowych Niemiec!) jest jedną z głównych cech psychiki politycznej współczesnej Francji i jej ustroju, wciąż opartego na tradycjach Wielkiej Rewolucji i Wieku Oświecenia. Francuz, w którego pojęciu przynależność do narodu jest przedewszystkiem kwestją ś w i a d o m o ś c i, zadowolony i dumny, gdy murzyn z kolonij, odpowiednio edukowany, mówi o Moljerze i Rasynie: „nasza literatura", chcący dopełniać niedostateczny przyrost naturalny asymilacją jaknajliczniejszych imigrantów cudzoziemców, — jest nader skłonny wypomnienie obywatelowi francuskiemu jego żydostwa uznać poprostu za rozbijanie jedności narodowej, osłabianie, pomniejszanie własnej ojczyzny. Pouczającym przykładem tego sposobu myślenia była niedawno reakcja przewodniczącego Izby Deputowanych, Herriota na skromną wzmiankę o pochodzeniu premjera Bluma w przemówieniu posła Vallat'a.

Lecz najważniejszą, decydującą przyczyną tego ufnego stosunku opinji francuskiej wobec żydów była i jest niewątpliwie — ich słabość liczebna. Przypomina mi się słyszany niegdyś, znakomity aforyzm Romana Dmowskiego: „W Polsce jest żydów za wiele, ażeby mogli nią rządzić". Istotnie, u nas, gdzie co trzeci mieszkaniec stolicy Rzplitej jest żydem, gdzie w sercu Polski ludność miasteczek bywa w 80—90% żydowska, trudno wprost wyobrazić sobie beztroską postawę duchową Francuza, zwłaszcza z prowincji, który w swojej Bretanji czy Gaskonji może niekiedy życie całe przeżyć, nie spotkawszy na swej drodze izraelity. To pewna, że inaczej i my przyjęlibyśmy powierzenie ważnej nawet funkcji państwowej cudzoziemcowi, np. Szwedowi lub Portugalczykowi w polskiej służbie, inaczej zaś całkiem musimy być zaalarmowani faktem, gdy cudzoziemiec ten posiada w kraju naszym cztery miljony swych współplemieńców, o których dba i którzy nawzajem są czynnikiem politycznym, na którym się opiera.

Dochodzimy tutaj do sedna sprawy. Stare, zachodnie zwłaszcza narody europejskie są tak zwarte w swej jedności, tak określone w swych instynktach i dążeniach, że żyd, jeżeli sprytem, umiejętną taktyką, poparciem związków wolnomularskich potrafi wydostać się na ich czoło, musi, chcąc nie chcąc, dostosowywać się do tej woli narodowej, ukradkiem tylko i w sposób nie rażący załatwiając interesy swoich rodaków. Rzecz zrozumiała, iż bywa to tem łatwiejsze, im w danem państwie liczba żydów jest mniejsza oraz im mniej odrębność ich celów jest widoczna. U nas, gdzie każda sprawa ważniejsza, pośrednio lub bezpośrednio, silniej lub słabiej o interesy żydowskie zahacza, gdzie żydów tylu i tak ciągłych usług zmuszeni są od współplemieńców „na stanowiskach" wymagać, taka metoda, nawet dla najzręczniejszych, staje się jawną najzupełniej niemożliwością.

W świetle tych uwag wydaje się jasne, że obecny rząd francuski, jak żaden inny zresztą, nie może stanąć w sprzeczności z podstawowemi dążeniami narodu, że lewicowy gabinet p. Bluma w swojej polityce nie tak znów bardzo różni się od ewentualnego, prawicowego gabinetu... p. Mandela... Stanowisko ministra Delbosa wobec „sankcyj" antywłoskich (takiego „realizmu" nie powstydziłby się zapewne sam p. Laval), stwierdzenie siły i gotowości bojowej armji na dorocznej rewji dnia 14 lipca, — to charakterystyczne objawy, jedne z wielu, w sposób wymowny potwierdzające przedstawiony powyżej stan rzeczy. Przed kilku dniami jeszcze „Kurjer Warszawski" zamieścił telegram swego korespondenta z Berlina, streszczający ubolewania prasy niemieckiej z powodu, że lewicowe rządy we Francji nietylko nie zmniejszają budżetu wojskowego, ale go raczej powiększają...

Ale p. Blum pod jednym w każdym razie względem okazał się nieodrodnem dziecięciem swojej rasy. Niczem owa Sara, kochanka Faraona z powieści Prusa, skorzystał z chwilowego faworu władcy (tym razem jest nim „suwerenny lud" francuski), aby za sobą wprowadzić całą gromadę sobie bliskich. Wspomniany *„Le réveil du peuple"* wymienia jako żydów: w ministerstwie spraw wewnętrznych C a h e n (sekretarz generalny), w ministerstwie oświaty Z a y, w prezydjum rady ministrów: J u l e s M o c h (sekretarz generalny), A n d r z e j B l u m - B l u m e l (dyrektor gabinetu), H e i l b r o n n e r (radca), G r u n e b a u m - B a l i n (radca), p-ni P i c a r d - M o c h (sekretarka osobista), p-ni M i r e i l l e A m i n (zastępczyni).

To wystarczyło ażeby wzbudzić czujność. Czasami nawet przesadną, skoro np. p. Boissel i panią Joliot-Curie nazywa „córką polskiej żydówki, Skłodowskiej". Bądź co bądź jednak sprawdzanie metryk już się rozpoczęło. Mówi się już obecnie na ten temat i z trybuny parlamentarnej, i w pojawiających się w coraz to większej liczbie książkach, broszurach, czasopismach. Zagadnienie zaczyna przedostawać się i na szpalty dzienników. Kto wie też, czy objęcie władzy przez p. Bluma nie okaże się rzeczywiście początkiem nowego okresu we Francji, nietyle może ze względu na socjalizację, co ze względu na... antysemityzm?..

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

MASONI OPIEKUNAMI LUDU. Naród polski, zatrzymany w swoim naturalnym rozwoju przez rozbiory, odzyskał w niepodległości świadomość swoich potrzeb. A te potrzeby dyktuje instynkt organizmu, dążący do udoskonalenia ustroju. Na pierwszy plan wysunęła się z nieodpartą oczywistością konieczność wytworzenia polskich miast, będących dotąd w posiadaniu żydów.

Nie będzie w Polsce przeludnienia, bezrobocia i pauperyzacji jeśli nadmiar ludności wiejskiej przesiedli się do miast, czekających na ludność polską. Hasło tworzenia mieszczaństwa polskiego stało się nakazem naszej polityki wewnętrznej, dogmatem naszych czasów. Jakże istnieć może organizm, jaką siłę zapewnić swemu państwu—bez zdrowych gruczołów, jakie tworzy w organizmie narodowym rodzimy żywioł mieszczański?

Co począć z nadmiarem ludności wiejskiej? Większej posiadłości zostało zaledwie tyle, ile wymaga całokształt gospodarstwa rolnego domagającego się uprzemysłowienia. Wystarczy rzut oka, aby zrozumieć, że na porządku dziennym stanął postulat polszczenia miast.

Jakiż Polak tego nie rozumie? A jednak temu prostemu nakazowi widzimy przeciwstawiający się (i to z autorytetem!) inny. Hasło polszczenia miast traktowane jest jako niewłaściwe, nieprzyzwoite, karygodne, zbrodnicze, ba — co tu mówić długo—faszystowskie! A natomiast żeby odwrócić uwagę od miast, wysuwa się ponętę większej własności ziemskiej.

Miasta niech zostaną żydowskie, a ludność wiejską rzucić na dwory. Oto recepta żydowsko-masońska: reforma rolna!

Widzimy z tego manewru, w czyim ręku znajduje się „front ludowy". Działa on środkami demagogicznemi, przystosowanemi pozornie do obecnych stosunków społeczno-ekonomicznych, ale w gruncie rzeczy dyktowanemi interesem polityki żydowskiej. Niema w tem ani odrobiny względów na dobro narodu polskiego.

Manewr reformy rolnej, obliczony na sukurs ze strony czynników wywrotu komunistycznego. jest dywersją, wymierzoną przeciwko naturalnej, ewolucyjnej polityce narodowej. Te same czynniki, które od paru stuleci stały na przeszkodzie zdrowym prądom rozwojowym Polski, powodując jej upadek polityczny, dzisiaj robią to samo. Jak dawniej odwracano uwagę szlachty od miast, tak teraz czynią z ludem wiejskim, kierując jego uwagę na dwory. Znajdują dla tych planów możnych sojuszników.

Nic dziwnego, że obóz narodowy, demaskujący tę złą robotę, jest znienawidzony, wyłączony nawet ze wszystkich kombinacyj politycznych reżimu.

Cała nadzieja, że obudzona już świadomość dziejowa społeczeństwa polskiego utrudni robotę żydom, tak łatwą jeszcze w stuleciach poprzednich.

PANUJĄCY OBECNIE SYSTEM MA SWOJĄ TERMINOLOGJĘ. Do jednych z najbardziej charakterystycznych terminów należy t. zw. „zmiana warty". Oznacza ona, iż na miejsce jednego człowieka przychodzi drugi, ale mimo to nic a nic się nie zmienia.

Wiemy, że p. Ignacy Matuszewski jakoś „tam" nie w modzie. Odszedł z wielu stanowisk, odszedł ostatnio i ze swego prasowego fortu — „Gazety Polskiej". W niedzielę 10-go lipca artykuł wstępny na tematy gospodarcze napisał p. Bohdan Witwicki. Tytuł: „Możliwe niemożliwości". A więc paradoks. Lubimy paradoksy. „Możliwe niemożliwości" to wcale śmiało. Czyżby istotnie coś się na łamach pułkownikowskiego organu zmieniło?

Zróbmy krótki przegląd zdań:

A więc pierwsze:

„Im dalej, tem więcej okres obecnego kryzysu zaczyna wyglądać na... cmentarzysko uznanych dotychczas prawd gospodarczych. W miarę ustępowania w cień liberalnej ekonomji, jedynej ekonomji *„an sich"*, dogmaty jej tracą powoli charakter aksjomatów. Sama znajomość praw ekonomicznych nie wystarcza do rozeznania się w zachodzących zjawiskach gospodarczych, do trafnej oceny możliwości pewnej polityki gospodarczej. Potrzebna jest znajomość i zjawisk społecznych, i psychologji i t. zw. polityki".

Zupełnie słusznie. A potem po szeregu rozważań położenie nacisku na „...budzenie optymizmu nie ściśle gospodarczego, jak w wypadku „klasycznego" nakręcania konjuktury, lecz optymizmu „politycznego" i „społecznego", budzenie masowego entuzjazmu przez ukazanie masom popularnego celu do osiągnięcia".

I przykłady:

„Niemcy, Włochy, Japonja — wykazują wyraźnie ożywienie gospodarcze, a żadne z tych państw nie należy do najzasobniejszych, osiągnięte przebudową ustroju społecznego (w Japonji przyrodzonym, wyjątkowym charakterem narodu), ujęte w karby celowej organizacji państwowej...

Streszczając — dwa są czynniki, umożliwiające mobilizację gospodarczą i — raczej — mobilizację wszystkich sił społeczeństwa: poruszenie szerokich mas drogą ukazania im zrozumiałych i konkretnych celów do osiągnięcia oraz ujęcie rozbudzonego optymizmu i dynamizmu w karby budzącej powszechnie zaufanie, silnej organizacji państwowej".

I tu trudno nie przyznać racji, podobnież jak i ostatniemu stwierdzeniu kończącemu artykuł:

„Coraz więcej symptomatów przemawia za tem, że bieżący kryzys pociągnie za sobą w świecie poważne zmiany struktury, i to nietylko gospodarczej. I co dotychczas uważaliśmy za niemożliwość gospodarczą, to obecnie — traktowane w szerszej płaszczyźnie polityczno-społecznej — staje się nieraz realną możliwością. Kto odpowiednio wcześnie to zrozumie — dobrze na tem wyjdzie".

A więc? — Wniosek nasz będzie miał formę najdziwniejszą. Zmieści się w krótkiem, trzyliterowym „ale".

„Entuzjazm, konkretny cel, dynamizm..." a l e czy „Gazeta Polska" i jej zwolennicy i oponenci z jednego zresztą obozu zdolni są do wywołania tego napięcia twórczego uczucia, bez których n i e m o ż l i w e są n i e m o ż l i w o ś c i?

„Potrzebna jest i znajomość zjawisk społecznych i psychologji i polityki", a l e czy „Gazeta Polska i jej zwolennicy i oponenci z jednego obozu zdolni są pojąć wszystkie te zjawiska?

Odpowiedź daje życie. Odpowiedź kryje się i między wierszamy cytowanego przez nas artykułu. Tak zręcznie został on napisany, że słowo „naród" zostało użyte tylko, gdy była mowa o Japonji. Słowo „naród" wciąż jest na indeksie. Wciąż jest romantycznem pojęciem według słów prof. Wacława Makowskiego.

Pogarda dla romantyzmu obowiązuje tedy nadal na łamach „Gazety Polskiej". Zda się, iż

następca p. Matuszewskiego wierzy w moc rozstrzygającą czynników wyłącznie mechanicznych — umiejętnie postawionej propagandy. Czyżby wiele przykładów w których ona całkowicie zawiodła nie przekonało jeszcze? Po jednym z wielkich sukcesów polityki Hitlera szedł ulicami Berlina pochód niosąc setki pochodni. Tłumy ogarnęła orgja entuzjazmu. Stąd wniosek, że powód radości leżał w... pochodniach. Spróbowano więc i u nas pochodni. Entuzjazmu nie było.

Reasumując — czy artykuł p. Bohdana Witwickiego, idący, jak nam się wydaje, po innej linji, nie ta, którą reprezentował p. Ignacy Matuszewski, znamionuje istotny przewrót w pojęciach „Gazety Polskiej"?

Nie. Klasyczna zmiana warty.

WŁ. STUDNICKI O SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ

KTOKOLWIEK zna choćby ze słyszenia przeszłość polityczną Władysława Studnickiego, nie posądzi chyba tego pisarza o sprzyjanie polskiemu obozowi narodowemu. To też ostatnia jego książka [1]) o sprawie żydowskiej w Polsce ma znaczenie podwójne: zawiera sporo obserwacyj bardzo trafnych i wnikliwych, dużo przejrzyście ugrupowanego materjału historycznego, szereg dobrze uzasadnionych wniosków; poza tem wszystkiem jest cennem, bo mimowolnem wyznaniem pisarza, obcego prądom narodowym, że prądy te przenikają do umysłów najbardziej nawet wobec idei „endeckiej" opornych. Stwierdzamy to zresztą jedynie jako objaw, dla czasów najnowszych poniekąd symptomatyczny.

A przecież zaczyna p. Studnicki swoją pracę od... odgrodzenia się od „endecji". Pisze w przedmowie, że w roku 1912, „gdy endecja propagowała bojkot ekonomiczny żydów, byłem temu przeciwny, uważając, że jest to akcja, wszczęta w nieodpowiednim czasie. Byliśmy w przededniu wojny światowej, która miała rozstrzygnąć o tem, czy osiągniemy samodzielny byt państwowy... Żydzi, twierdziłem wówczas, są międzynarodową potencją... Otóż, gdy sprawa nasza miała się stać międzynarodową, nie należało wszczynać walki z żydami... Obecnie warunki się zmieniły".

Nie chcielibyśmy urazić p. Studnickiego, ale zdaje się on przesadnie oceniać własną przenikliwość. W roku 1912 nie przystąpił on do akcji bojkotowej, bo związany był wówczas wielu więzami z grupą polityczną, która do bojkotu odniosła się wrogo lub lekceważąco. Dziś wydaje mu się, że dyktowała mu to „racja stanu".

Ale nie będziemy się o to kłócili, nigdy jeszcze bodaj żaden ambitny polityk nie był skory do przyznania się, że popełnił błąd zasadniczy. Mimochodem tylko warto zaznaczyć — co przyznaje zresztą sam autor „Sprawy polsko-żydowskiej", — iż mimo całej tej delikatnej „dyplomacji" p. Studnickiego i jego politycznych przyjaciół, żydzi ani w czasie wojny, ani też w czasie rokowań pokojowych nie oddali sprawie polskiej żadnej przysługi.

[1]) Władysław Studnicki: „Sprawa polsko-żydowska". Wilno, 1936, drukarnia J. Zawadzkiego. Str. 123.

Ważniejsze jednak od tych wybiegów p. Studnickiego są pozytywne stwierdzenia, zawarte w jego niewątpliwie interesującej książce.

*

„Stosunek sił gospodarczych i społecznych polskich i żydowskich przesuwa się na korzyść Żydów; jest niebezpieczeństwo, że naród polski, wyzwolony z jarzma rosyjskiego i niemieckiego, może pójść pod panowanie żydostwa" — oto punkt wyjścia rozważań Studnickiego.

Pierwsza część książki — to uzasadnienie i rozwinięcie tej tezy. Część druga zawiera wnioski i zalecenia, jakich użyć środków, by zmienił się na naszą korzyść ów fatalny układ sił.

Pogromy i prześladowania żydów w Europie w wiekach od XIII-go do XVI-go wywołały imigrację żydowską do Polski. Pogromy występowały jako nieuchronna reakcja na postępowanie żydów, bowiem „przy zetknięciu się żydów z narodami europejskiemi żydzi spełniali zawsze funkcje wyzyskiwaczy" (str. 10). Handel w ręku żydowskiem przerodził się w lichwę i szachrajstwo. Zdaniem Studnickiego, w ruchach przeciwżydowskich jako główny czynnik występowały względy natury gospodarczej, kwestje rasowe a nawet religijne grały tu rolę drugorzędną.

Zorganizowane, mocne mieszczaństwo zachodniej Europy broniło się skutecznie przed zalewem żydowskim. W Polsce mieszczaństwo w chwili, gdy napłynęły pierwsze fale żydowskiej imigracji, było zbyt młode i słabe, by fali tej przeciwstawić się zwycięsko. Rzecz prosta, że „napływ żydów do Polski przeciwdziałał rozwojowi polskiego mieszczaństwa, co było jedną z przyczyn upadku Polski" (str. 12).

Pasorzytniczy naród żydowski obok szachrajskiego handlu upodobał sobie pośrednictwo, i to w sprawach dla chrześcijańskiego sumienia najbardziej drażliwych. Cytuje tu Studnicki wielkiego Staszica, który pisał, że żydzi „czynili się pośrednikami między panem a poddanymi. Było to dogodne i sprawiedliwości szlachcica stosowne narzędzie do jego łakomstwa, które religja wstrzymywała od zdzierstw oczywistych; czego pan swoim poddanym bez odrazy sumienia wydrzeć nie mógł, to im przez oszukiwanie żydowskie ze spokojnością tego sumienia wydzierał".

Cechy mieszczańskie były w Polsce czynnikiem, gwarantującym wartość produkcji. Żydzi w walce z cechami posługiwali się partactwem, dając niezamożnej szlachcie produkt zły, ale tani. Przez wdzięczność za to „dobrodziejstwo" szlachta wyjednywała żydom przywileje, które podcięły byt polskiego mieszczaństwa.

Przechodzi następnie Studnicki do czasów porozbiorowych. Stwierdza tu na wstępie, że „im mniej aktywności gospodarczej przejawiała jaka prowincja Rzeczypospolitej, tem znaczniejszy procent posiadała żydów". (Możnaby tę tezę odwrócić, stwierdzając, że im większy procent żydów zamieszkiwał w jakiej prowincji, tem bardziej osłabione i zdewastowane, a więc „mniej aktywne" było życie gospodarcze tej prowincji).

Żydzi próbują w nas wmawiać, że mają jakieś zasługi wobec państwa polskiego. Studnicki podnosi słusznie, że „gdybyśmy zamiast tych kilkuset tysięcy żydów, którzy zaludnili miasta polskie, mieli dodatkowych kilkaset tysięcy mieszczan pol-

skich, mielibyśmy siłę do odparcia najazdu rosyjskiego i uniknęlibyśmy rozbiorów" (st. 23).

Władzom zaborczym oddawali żydzi ogromne usługi, zarówno w zaborze rosyjskim, jak i pruskim. Zaraz po rozbiorach pomagali oni skwapliwie dygnitarzom rosyjskim w walce z polskością. Byli szpiegami rosyjskimi w powstaniach 1831 i 1863 roku. W czasach najnowszych, w wojnie polsko-bolszewickiej z 1920 r., żydzi witali z radością bolszewików, strzelali do polskich żołnierzy.

„W Płocku"—pisze Studnicki—„według urzędowej relacji objazdu kraju przez ministra Witosa, ludność żydowska zachowywała się wobec naszych żołnierzy wrogo i sympatyzowała z nieprzyjacielem. Stwierdzono, że żydzi z zasadzki oblewali żołnierzy naszych gorącą wodą. Schwytano szereg żydów na gorącym uczynku porozumiewania się z bolszewikami zapomocą podziemnego telefonu. W miasteczku Kałuszynie wszystkie domy żydowskie ozdobione były czerwonemi sztandarami na przyjęcie Moskali. W Nasielsku żydzi zaciągnęli się gromadnie do szeregów bolszewickich, w Hrubieszowie strzelali do cofającego się wojska polskiego. Jak świadczy komunikat sztabu generalnego, 19 sierpnia 1920 roku w Siedlcach wzięto do niewoli oddział żydowski z bronią w ręku, wspomagający bolszewików. We Włocławku utworzył się żydowski oddział bolszewików i występował przeciwko Polsce. Ludność żydowska z Białegostoku wysłała przeciwko naszym wojskom ochotniczy oddział żydowski..." (str. 45).

Część pierwszą, historyczną, swojej książki zamyka Studnicki następującą konkluzją: Napływ żydów do Polski zatamował wzrost polskiego mieszczaństwa, a przez to wykoszlawił naszą strukturę społeczną, wpłynął ujemnie na formę polityczną państwa i doprowadził je do upadku. W decydujących momentach okresu porozbiorowego mieliśmy żydów przeciwko sobie.

*

Przechodzimy do czasów najnowszych. Omawia tu Studnicki stopień zażydzenia poszczególnych dziedzin życia Polski, operując statystyką. Zaczyna od stolicy. Stwierdza, że procent żydów w Warszawie przekracza 30. Ze względu jednak na polityczne znaczenie stolicy, udział żydów w samorządzie Warszawy winien być ograniczony według procentowego stosunku żydów do ogółu mieszkańców kraju, t. j. do 10,5 proc.

To samo dotyczy zresztą innych miast, wojewódzkich czy powiatowych. Miasto bowiem żyje z prowincji i oddziaływa na prowincję. Udział żydów w samorządzie powinien być dostosowany do okręgu, i wówczas liczba mandatów żydowskich w radach miast wojewódzkich nie przekraczałaby nigdzie 12 proc., w miastach zaś powiatowych nie dochodziłaby nigdzie do 30 proc.

Musimy dążyć za wszelką cenę do wyzwolenia gospodarstwa narodowego od żydostwa. Emancypacja ta musi się rozpocząć od dołu, od rozwoju drobnego polskiego handlu. Za wzrostem handlu polskiego musi pójść rozwój polskiego przemysłu.

Napływ żydów do wolnych zawodów musi być ściśle ograniczony. A więc w adwokaturze do 20 %., uwzględniając fakt, że obecnie żydzi prowadzą najwięcej przedsiębiorstw i mają najwięcej procesów. W medycynie do 10 proc. Również za niedopuszczalne uważa Studnicki, by żydzi mogli mieć wpływ na wychowanie narodu polskiego przez zajmowanie stanowisk nauczycieli: „W warszawskiem kuratorjum wśród nauczycielek historji posiadamy znaczny procent żydówek, urabiających przez nauczanie historji żydowski pogląd na Polskę w jej rozwoju. Są to przeważnie uczenice prof. Handelsmanna, wprawdzie chrzczonego, ale cóż z tego?" (str. 83).

Ostatni rozdział poświęca Studnicki zagadnieniu, do którego przywiązuje najwięcej wagi, mianowicie sprawie emigracji żydów z Polski, Jest on przeciwnikiem — ze względów gospodarczych—gwałtownych środków przymusu, uważa, że emigrację żydowską należy rozłożyć na lat 30. Domaga się powołania urzędu do spraw emigracji żydowskiej, który zorganizować winien emigrację żydów z Polski w ilości 100,000 rocznie. Ponieważ emigruje zazwyczaj element młody, najżywotniejszy, przyrost naturalny ludności żydowskiej w Polsce spadłby wówczas do zera, a po 30-tu latach planowej akcji sprawa żydowska w Polsce przestałaby istnieć.

*

Studnicki prowadzi swój wykład ze zwykłą mu swadą i temperamentem, sprawę w obozie jego dotychczas wstydliwie przemilczaną stawia wyraźnie, poprostu i uczciwie. Tezy jego zaakceptować można niemal bez zastrzeżeń.

W przedmowie napisał Studnicki, że „Sprawa polsko-żydowska" zwiększy ilość jego wrogów, których braku podobno i tak nie odczuwa. Obawy te wydają się nieuzasadnione. Książką swoją zadokumentował Studnicki, że losy kraju nie są mu obojętne, że zastanawia się poważnie nad rozwiązaniem tragicznego węzła, w który zaplątał się naród polski. Wysiłku tego nikt z Polaków nie może mu wziąć za złe.

FELIKS JORDAN

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Karol Hubert Rostworowski „Pisma" (Judasz z Kariothu, Kajus Cezar Kaligula, Miłosierdzie). Warsz. 1936. Księg. F Hoesicka.

Wszystkie te trzy sztuki były wystawiane w teatrach, ze słynnem powodzeniem, tak bezpośrednio po ich napisaniu, jak i po latach po wznowieniu na scenie. Były też wielokrotnie omawiane przez krytykę, ich monumentalność, ideowość, plastyka i żywość akcji, oraz charaktery figur dramatycznych.

Dopiero jednak w druku, z książki, można sobie zdać sprawę z czaru wrażenia. Autor panuje, w każdym ułamku sekundy, nad kształtem i barwą swych poetyckich wizyj. Tekst sztuk, wydany teraz drukiem, zawiera informacje dla dekoratora, aktora i reżysera. Informacje te dodają wrażeniu nowe, świetne motywy. Będzie się niemi rozkoszował już nie widz i słuchacz, ale czytelnik.

Podobnie jak w dramatach Wyspiańskiego informacje Rostworowskiego zdają się być suche, nieledwie schematyczne. Ale właśnie przez prostotę swego wysłowienia informacje te, odrazu, trafnie ustalają atmosferę tła i ruchu. Tak naprzykład na początku, w pierwszej części pierwszego aktu, dramatu „Judasz z Kariothu".

„Kapharnaum. W głębi jezioro Genezareth i odległy, po drugiej stronie jeziora będący widok gór i doliny Jordanu. Z lewej chata Judasza, bez okien, tylko z szeroko rozwartemi drzwiami. Dokoła chaty oliwki i rozkwiecone jabłonki. Z prawej ocembrowana studnia.

„Jest po zachodzie słońca. Gasną ostatnie purpurowe odblaski dnia.

„Judasz siedzi nad jeziorem, plecami zwrócony do widowni. Brodę podparł na ręku, przygarbił się i patrzy w daleki świat, od czasu do czasu podrzucając lewem ramieniem”.

Takie jak tu soczystemi barwami namalowane obrazy są dekoracyjną ramą każdego momentu przedstawień wszystkich trzech dramatów. Piękno ich występuje w czytaniu może suggestywniej niż na scenie. Wydanie książkowe pism Rostworowskiego utrwala i upowszechnia ich wartość niepospolitą. (A. W.)

*

A d o l f N o w a c z y ń s k i. „Moja przejażdżka po Palestynie“. Nakład własny. Skład główny w księg. A. Prabuckiego i A. Płochy. Warszawa, Miodowa 1.

Na wstępie zastanawia czytelnika, że nowa ta książka znakomitego pisarza nie została wydana przez któregokolwiek z zawodowych wydawców, ale nakładem własnym autora. Podobnie niedawno własnym nakładem wydał Zygmunt Wasilewski swe studjum „Norwid“, nagrodzone następnie przez Polską Akademję Umiejętności w Krakowie. Więc nie ujemne cechy książki zdecydowały o braku nakładcy, ale szczególny to znak czasu. Wydawcom, zasypującym rynek tandetą przekładów, brakło odwagi żyrowania swą firmą dzieła pisarza narodowego.

Książka A. Nowaczyńskiego „Moja przejażdżka po Palestynie“ to zbiór artykułów już drukowanych w pismach, i kilku nowych, do tamtych dołączonych. Nie zawierają opisu z przejażdżki autentycznej po ziemi palestyńskiej koleją, samochodem, czy na wielbłądzie. Jest to przejażdżka przy biurku, po publicystycznej w kwestji żydowskiej literaturze.

Znajomość materjału z dziedziny spraw narodowościowych żydowskich i arabskich, kolonizacji, rolnictwa, przemysłu i handlu dzisiejszej Palestyny, polityki żydów w Polsce, opinji zagranicy, stanowiska Anglji, odruchów Arabów przeciw coraz wzrastającemu przypływowi żydów, wszystko to jako temat aktualny uwydatnione zostało piórem nieporównanie oryginalnem. Nowaczyński zadał sobie trud zapoznania się z prasą angielską i arabską. Kwestji żydowskiej u nas nie traktuje dramatycznie, nie pomstuje i nie rozdziera szat. Wierzy w zwycięstwo polskiej idei narodowej, więc nasze z powodu pobytu żydów w Polsce bolączki omawia jako przemijające, humorystycznie. Technika pisarska Nowaczyńskiego w żartobliwem wypowiadaniu się przypomina ironiczne fejletony francuskiego pisarza Cocteau, przewyższając tego ironistę o niebo fantazją, dowcipem i siłą charakterystyki.

Książka nie nudna. Poucza i rozśmiesza. Pozyska wielu czytelników. (A. W.)

*

S t a n i s ł a w Ł u k a s i e w i c z. „Nauczyciele“. Powieść. Warszawa, 1936. F. Hoesick.

Rola nauczyciela w obecnym ustroju szkolnictwa stała się przedmiotem czujnej uwagi czynników narodowych. Nie jest jakby być powinno. Wiemy o tem wszyscy. Tem więc z większą ciekawością czyta się powieść o pracy nauczyciela w gimnazjum im. Kopernika w pewnem, nieokreślonem bliżej z nazwiska, mieście wojewódzkiem. Autor unika silniejszych akcentów krytycznych, gdy mówi o bezideowości dzisiejszej szkoły. Szkoła w Polsce powinna być polska, tak jak, niedaleko szukając, niemiecka w Niemczech, włoska w Italji. Tymczasem dusza szkoły u nas dusi się w trybach mechanizmu przepisów, jest martwa, a nie są w stanie jej ożywić i rozpłomienić różne, od czasu do czasu, na jej terenie urządzane „galówki“.

Młody Ładowski, po ukończeniu w Warszawie studjów uniwersyteckich, został nauczycielem w gimnazjum na prowincji. „Jeszcze w Warszawie informowano go, że gimnazjum to ma w Kuratorjum opinię endeckiego, i że za zaciekłego endeka uważany jest dyrektor. Nie chciał teraz kłamać, że sympatyzuje z obozem narodowym, a z drugiej strony zależało mu na przychylności dyrektora”... Tak więc w przedstawieniu atmosfery gimnazjum i miasta toczy się akcja, żeby tak rzec, neutralnie, a szkoda, bo niekiedy myśl autora byłaby skłonną do oddania pełni wyrazu. Za to z interesującą werwą ukazaną została groteska plotek małomiasteczkowych, zwad personelu nauczycielskiego, miłostek młodego profesora i typy warszawskich dygnitarzów szkolnictwa.

Przebył w mieście rok, umęczył się wśród tych ludzi, płynął powolnym prądem spraw codzienności, i wreszcie, gdy trafiło mu się dostać nową posadę w Warszawie, wyjechał.

Czytelnikowi pozostaje wrażenie oczekiwania na ideję, któraby pracę nauczycieli oświeciła. To zapewne chciał autor powiedzieć, jednak w kwestjach tak zasadniczych jak naprzykład w kwestji żydowskiej, „Straży Przedniej“, komunizmu i innych, o których wzmiankuje, nie wypowiada się. Daje fotografje, reportaż stosunków w szkole. Resztę można sobie w czułej duszy dośpiewać. (A. W.)

*

D r. J u l j u s z S a s W i s ł o c k i „Przepisy o kontroli obrotu towarowego z zagranicą i z W. M. Gdańskiem”. Warszawa, 1936 r. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego Młodych Prawników i Ekonomistów w Warszawie.

Książka dr. Wisłockiego, starannie i jasno opracowana stanowi doskonały podręcznik, dostępny nietylko dla prawników, a niezbędny dla wszystkich, którzy z racji wykonywanego zawodu zapoznać się muszą z przepisami dotyczącemi obrotu towarowego z zagranicą i z W. M. Gdańskiem.

Dużą zaletą książki dr. Wisłockiego jest to, że podaje ona teksty przepisów, dotyczące obrotu towarowego, które zostały zaopatrzone krótkim komentarzem w formie zrozumiałej i przystępnej dla każdego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

J. de P e s q u i d o u x *contra* A n d r é M a u r o i s. W początkach lipca miały miejsce wybory do Akademji Francuskiej na cztery opróżnione fotele: J. Cambon'a, Bourget'a, de Nolhac'a i J. Bainville'a. O ten ostatni ubiegali się między innymi A. Maurois i J. de Pesquidoux, który został wybrany.

Zdziwi to najpewniej niejednego, że pisarz o którym poza Francją mało kto słyszał, zwyciężył pisarza zażywającego rozgłosu w całym świecie i posiadającego liczną klijentelę międzynarodowych czytelników. A jednak w tym wypadku słuszność mieli „nieśmiertelni”, oddając pierwszeństwo J. de Pesquidoux, gdyż on o wiele więcej należy do rdzennej literatury francuskiej i większy zaszczyt jej przynosi, niż głośny w świecie autor efektownych studjów o Disraëlim, Shelley'u, Byron'ie, Edwardzie VII i t. p. utworów (najlepszą książką A. Maurois jest poświęcona marszałkowi Lyautey).

Niewiele napisał J. de Pesquidoux, zaledwie kilka książek („*Sur la glèbe*”, „*Le livre de raison*“, „*l'Eglise et la terre*“ i t. p.)—wszystkie jednak tchną wysoką mądrością i wyrażają wielkie bogactwo uczuć, jak wszystko, co powstaje z głębokiego ukochania rodzinnej ziemi-żywicielki, tego co na niej i z niej żyje, tych trudów i starań, jakich wymaga—by sama żyła wiecznie.

Pisano we Francji książki o tem jak „ziemia umiera“ („*La terre qui meurt*“—powieść R. Bazin'a).

Pesquidoux pisał swoje, by pokazać jak ona żyje, ile rodzi wielkiej radości oraz dóbr wszelkich, gdy jej synowie pozostają jej wierni. Te „Georgiki” francuskie pisane są nadto pyszną prozą, prostą a wymowną, wzruszającą i subtelną. (W. J.)

E R R A T A.

We wstępie do mojego artykułu p. t. „O tablicę ku czci Rzeckiego” („Myśl Narodowa” Nr. 23), gdzie udowodniłem, że adres prywatny Stanisława Wokulskiego brzmiał: Krakowskie Przedmieście Nr. 4 m. 2; adres zaś firmy J. Mincel i S. Wokulski opiewał: Krakowskie Przedmieście Nr. 7, wzmiankowałem nawiasowo, że panna Izabela Łęcka kwestowała w Kościele św. Krzyża. Prus pisze w tomie pierwszym „Lalki”: „Co to za ogromny gmach, który zamiast kominów ma wieże...”. Jedynym kościołem na Krakowskiem Przedmieściu, który ma w i e ż e (*pluralis*) jest Kościół św. Krzyża. Bernardyni posiadają tylko jedną wieżę. Wizytki wcale wież nie posiadają. Gdy pisałem mój artykuł, trudno mi było uznać za „wieże” — latarnie zdobiące wierzchołek Karmelitów. Ale przeczytawszy „Lalkę” po raz setny pierwszy (już po napisaniu owego artykułu) znalazłem w tomie trzecim niewątpliwy dowód, że Prus „wieżami” nazywa właśnie Karmelickie latarnie. Wokulski podczas wizyty u pani Stawskiej powiada wyraźnie, że ją widział w zeszłym roku na grobach u Karmelitów. Wiemy z tomu pierwszego, że zauważył panią Stawską w kościele po złożeniu ofiary na tacy panny Łęckiej (i po zauważeniu przyszłej Magdalenki). A zatem kościół, w którym kwestowała panna Izabela, to nie był św. Krzyż, lecz Karmelici.

STEFAN GODLEWSKI

*

W liście składek na tablice ku czci Rzeckiego i Wokulskiego, zamieszczonej w poprzednim numerze „Myśli Narodowej”, wydrukowano mylnie nazwisko A r t u r G r u s z e c k i zamiast A r t u r C h o j e c k i.

SZLACHETNE DZIEŁO ŻELAZNE

W NAJNOWSZEJ serji wydawnictw Instytutu Śląskiego znajdujemy naukowo opracowane wydanie poematu z 1612 r., niepospolitej wartości historycznej. Tytuł brzmi: „*Officina Ferraria* abo huta y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego". Autorem poematu jest Walenty Rożdzieński. Rzecz tę wydał, wstępem i przypisami zaopatrzył prof. Uniw. Pozn. Roman Pollak. Unikat tego utworu znalazł się w Bibljotece Kapitulnej w Gnieźnie. Przedmowa prof. Pollaka obejmuje 25 stron, tekst z przypisami 113. Do tego 9 facsimiljów.

Autor zaczyna od dedykacji (na rzecz JWP. Andrzeja Kochcickiego, swobodnego Pana z Kochcica itd.), poczem podzieliwszy rzecz na rozdziały opowiada dzieje hutnictwa i kowalstwa, poczynając oczywiście od potopu. Opisuje więc którzy kuźnicy „najpierwej na świecie żelazo, miedź i inne ogniem wyprawują", potem „dzieje Wulkana Lemneńskiego kuźnika", poczem niepoznacznie przechodzi przez Niemcy, Czechy do Śląska. Mamy tutaj arcyciekawe kartki „o zginieniu kruszca bytomskiego", „o rudach, kruszcach i o kamieniach drogich w Księstwie Śląskim" itd.

Poemat kończy się rozdziałem p. t. „Własny konterfekt abo wyobrażenie żywota kuźniczego". Pozwalamy sobie przytoczyć ten rozdział w całości. Da nam on wyobrażenie, jak wyglądał autor poematu.

WŁASNY KONTERFEKT

Nie wiem, czemu sie mojej tak barzo osobie
Dziwujesz? Czy-ć sie moj kształt nie podoba tobie?
Podobno, żem to czarny by sadzelnik jaki.
Jestem kuźnik w tym kształcie—jak mie widzisz—taki.

Od ogniać to i dymu tak bardzo sczyrniało
Na mnie—jako tu oto widzisz—wszytko ciało!
A stąd nie dbam o świetne i o cudne szaty,
Bo sie też tu nie zejdą do naszej roboty.

Jestem właśnie jakoby murzyn uczerniony
Po wszem ciele i ogniem srodze popalony.
Wstąp jeno—obaczysz—tu do nas, jako każdy
Musi sie w naszej hucie z ogniem biedzić zawżdy!

Patrzajże, jako sie to na mnie skwarzy ciało!
Azaż u nas w tym ogniu mamy męki mało?
Płomień leci z iskrami w oczy jak perzyny.
Piekę się ustawicznie ogniem z każdej strony!

Zapali-ć sie koszula, zgore-ć ciała sztuka,
Nie zagoi-ć sie czasem ledwie aż w poł roka;
Od trzasku młotowego mało już co słyszę!
W takiej biedzie pracować ustawicznie muszę.

Mizerny jest żywot nasz. Zawżdy sie musimy
Z wielkim strachem urazu strzec, kiedy kujemy.
Trzeba tu być ostrożnym, bo młot nie sfolguje,
Prędko guza dostanie, kto niebacznie kuje!

I sam Wulkan, acz był w tym dziele mistrz ćwiczony,
Przecię też był na jedną nogę ochromiony,
Acz niektórzy udają, że go Juno była,
Matka jego, w dzieciństwie sama ochromiła.

Lecz ja temu nie wierzę, by jego urazu
Juno była przyczyną. Podobniej od razu
Młotowego był w Lemnie tej dostał chromoty,
Gdy się bawił około żelaznej roboty.

Stądci u nas jest głuchych i chromych niemało
A nie wiem, by był ktory, coby całe ciało
Miał na sobie. Patrz jako przywiędła do kości
Na mnie skora od wielkiej ognia gorącości!

Ustawicznie przy ogniu bez wytchu robimy
Tak we dnie jak i w nocy, aż i ustajemy
Od gorąca wielkiego! A toć nas tak nędzi,
Że i drugi ledwie żyw, gdy nań znoj przychodzi.

Kto nas przedtym nic widał a gdy do nas przydzie,
Bez dziwu—patrząc na nas—wielkiego nie będzie.
A my chodzim jakoby głownie ogorzałe
Mając włosy na głowie i brodzie niecałe.

Wszystko ogień popalił. Więc też mało dbamy
O ozdobę, gdy piwo i gorzałkę mamy.
Przecię u nas dobra myśl, nikt sie nie frasuje,
Bo Bachus troskę z głowy wnet kuflem wybije.

Jest nasz bowiem przyjaciel i powinowaty
A snać z naszym Wulkanem byli sobie braty,
Bo Jowisz obu spłodził, ale różne były
Niewiasty te ich matki, które ich zrodziły.

Przeto z nami trzyma cech a zawżdy nam w znoju
Upalonym podawa chłodnego napoju,
Prędkoćby sie *ad campos Elysios* wspieszył
Drugi, gdyby go Bachus kuflem nie pocieszył!

Tymci kształtem takową gorączkę gasimy,
Ktorej z Wulkanowego ognia dostawamy,
Bo tak barzo ten ogień Wulkanowy suszy,
Aż od znoju wielkiego nudno bywa duszy.

Przeto w ten czas zalewać trzeba upalone
Serce piwem i duchy posilać zemdlone.
Więc gdy mamy pieniądze, śrebro abo złoto,
Odkładamy mamonę tę [za]razem na to.

A na kurz zaś węgielny, co gardło plugawi,
Gorzałki używamy, bo nią wnet naprawi
I brzuch chory, uśmierza w nim morzenie ciężkie,
Strawi prędko potrawy złe w żywocie wszytkie.

Na jutrzejszy sobie dzień nic nie zachowujemy;
Wszytko naraz, cokolwiek zarobim, strawimy.
Bo u nas o bogactwo bynajmniej nie dbają,
Tylko na tym, co zjedzą i spiją, przestają.

W lichych domkach mieszkamy, bo nigdy o pyszne
Budowanie niedbamy, ani o rozkoszne
Leganie. Mur jest z węgla—nasza pościel—suchy,
W którym leżąc nie szkodzą nam pchły ani muchy.

Więc też i o dobry byt, jakiego na świecie
Ludzie pragną, tu w naszej nie pytaj sie hucie,
Bo widzisz, jako wszyscy ciężko pracujemy
A przecie niedostatek i nędzę cierpiemy.

Wszakoż zawżdy w wolności swojej, jaką mamy
Z przodków swoich, acz w nędzy, wszyscy sie kochamy.
Nią sie tylko cieszymy, która naszej nędze
Jest nawiętsza nagroda, nie skarb, nie pieniądze!

Bo jeszcze od Cyklopow począwszy w niewoli
U żadnego tyranna nigdyśmy nie byli.
Wszędy przyszcie i wyszcie zawżdy wolne mamy,
W jednem miejscu rok bywszy—w insze iść możemy.

Praw żadnych i statutow pisanych nie mamy,
Tak sie tylko zwyczajem cyklopskim rządzimy
Bez przysięgłych ławnikow, wojta i burmistrza.
Wszakoż mamy starszego miedzy sobą mistrza.

Ktorego w uczciwości takiej wszyscy mamy,
Że go tak jako ojca własnego słuchamy,
A on nas do żywności naszej potrzebami
Opatruje: piniądzmi, chlebem i szatami.

1612. WALENTY ROŻDZIEŃSKI

NA MARGINESIE

Macchiavelli pisze (*Il principe*):

— Jeżeli ci nie zależy na rzeczy, jeno chcesz się zabawić w rządy a przekarmić swoich przyjaciół, trzymaj się tego, co ci powiem:

1. Obywateli weź na baczność, co się równa sposobowi „ręce do góry". Wtedy możesz robić, co ci się podoba.
2. W polityce zewnętrznej zachowaj zupełne milczenie, bo to daje pozór mądrości i odzwyczaja obywateli od myślenia.
3. W polityce wewnętrznej wydobądź pierwsze lepsze hasło formalne, np. „kto rano wstaje..." Zanim się ludzie przyzwyczają, przez ten czas się namyślisz, co im dasz do roboty.

Uwaga ogólna: *Respice finem*. Pamiętaj, że łatwiej jest kierować samochodem niż państwem, a jednak, ileż katastrof!

*

Profesor Jèze z Paryża, jak donoszą dzienniki, wytacza proces Negusowi o odszkodowanie w wysokości miljona franków. Na sumę tę składa się kilka pozycyj: 1) alimenta za utratę niewinności politycznej, 2) odszkodowanie za policzki, któremi ustosunkowała się do niego młodzież francuska, 3) wynagrodzenie za udzielane Negusowi porady prawne.

Negus nie chce słuchać o tych pretensjach:

— „Ładnieś mnie pan urządził — telegrafuje do niego — ani mi się śni".

Prof. Jèze, jak się dowiadujemy, zamierza położyć areszt na honorarjum literackiem Negusa za jego pamiętnik, drukowany po polsku. Z tego powodu proces ma się toczyć podobno w Warszawie, ewentualnie w Addis Abebie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.